

Tomasz Sulewski: Nosił Lis razy kilka

Różnego typu "pewności", wygłaszane ze znanstwem z piedestału własnego autorytetu na trwałe zatruwają przestrzeń polskiej debaty publicznej



Różnego typu "pewności", wygłaszane ze znanstwem z piedestału własnego autorytetu na trwałe zatruwają przestrzeń polskiej debaty publicznej

Wizyta Jarosława Kaczyńskiego w programie Tomasza Lisa zdominowała początek ostatniego tygodnia kampanii wyborczej. Nie jest to zaskakujące o tyle, że nie codziennie zdarza się, aby tak wyszczekany i inteligentny dziennikarz jak Lis równie dramatycznie sam siebie nokautował. Kaczyński, który w powszechnej opinii szedł na to spotkanie, by zebrać tam tęgie baty, wyszedł z niego w ostatecznym rachunku z tarczą. Przez większość programu był rozluźniony, a nawet swobodny, irytując się co prawda delikatnie w paru momentach, niemniej nie dając się wyprowadzać z równowagi (co jest zawsze najskuteczniejszym sposobem na tworzenie medialnego obrazu rozmówcy-potwora, a akurat w wypadku tego polityka było zazwyczaj prostą sprawą). I choć nie był to bynajmniej popis medialnego i retorycznego mistrzostwa – niektóre wypowiedzi prezesa PIS ocierały się o butę i zajadłość, a on sam niepotrzebnie wdał się w kilka pyskówek czy dywagacji na mało istotne tematy – większość pułapek prowadzącego omijał bez problemu, a nawet z pewną gracją. Inna rzecz, że Lis wydatnie mu w tym pomagał – agresywny styl rozmowy, zaciśnięte szczęki, tendencyjne pytania i wyciąganie spraw przed 20 lat na każdym widzu, który ma w sobie potrzebę choćby sztafażu obiektywizmu, musiały zrobić jak najgorsze wrażenie. Nic dziwnego więc, że wielu komentujących program dziennikarzy - i tych "pro", i tych "anty" - uznało, że był to żenujący pokaz dziennikarskiej nieporadności i bezwstydney jednostronności przekazu.

Uczciwie przyznam, że już na starcie nie spodziewałem się zbyt wiele po tym widowisku. Pobieźna nawet lektura "Wprost" z ostatnich kilku tygodni nie pozostawiła najmniejszych wątpliwości co do sposobu widzenia przedwyborczego świata przez redaktora naczelnego tygodnika, a uroczę uwieńczenie tej passy w postaci artykułu przestraszonego jakoby Jakuba

Wojewódzkiego dało orientację co do poziomu argumentów. Dlatego też szybkie przejście w telewizji Lisa od programu PIS do niskich chwytów rodem z piaskownicowej pyskówki (jak choćby pouczenia o grzeczności) mnie nie zdziwiło. Przez pierwszych kilkanaście minut przyglądałem się co prawda z pewnym zdziwieniem jak Lis masakruje sam siebie, ale i to dość szybko stało się nużące (ile można ostatecznie bawić się czymś nieudacznictwem?). Moją uwagę przykuły mocniej ostatnie minuty, głównie z tej racji, że autor programu mimowolnie dał wyraz bardzo charakterystycznej cesze reprezentowanego przez siebie modelu dziennikarstwa.

Poszło o Ilonę Klejnowską, jedną z kandydatek PIS do Sejmu. Lis próbując upokorzyć szefa opozycyjnej partii wypytywał go o to, czy zna dobrze imiona, nazwiska i miejsca na listach tzw. Aniołków (sensowność i profesjonalizm w zadawaniu takich pytań zostawmy na boku). Gorzej, że w ferworze przyciskania gościa do ściany sam się poplątał, myląc kandydatki z Płocka i Bydgoszczy. Ot, powie ktoś, wtopa - zdarzyć się może, więc się zdarzyła. Każdego może trafić. Zgoda. Rzecz w tym, że kto inny, może bardziej pokorny i nie tak mocno przekonany o wielkości swojego formatu (a może po prostu bardziej obiektywny), wobec jednoznacznej i pewnej riposty Kaczyńskiego, że Klejnowska z całą pewnością kandyduje z Bydgoszczy, być może próbowałby zniuansować swoją wypowiedź, dodać choćby proste "ok, nie wykluczam, że w tej sprawie się mylę". Ale nie laureat licznych nagród, w tym nominacji do nagrody NawigaTOR (za udowodnienie, że rzetelne dziennikarstwo i prawdziwą publicystykę można uprawiać na najwyższym poziomie bez względu na medium). On wyraźnie dał odczuć, że on wie jaka jest prawda. A prawda jeśli jest inna, powinna natychmiast się podporządkować woli Tomasza Lisa. "Szóste miejsce z Bydgoszczy, panie prezesie". Postawę tę, charakterystyczną dla Najlepszego Polskiego Dziennikarza, ale także dla niektórych innych mainstreamowych publicystów można streścić: "Mówię, choć nie wiem. A im bardziej nie wiem, tym bardziej jednoznaczny i pewny jest mój ton. Bo wiem, że ludzie nie zapamiętają informacji. A nawet jeśli zapamiętają i uznają, że brzmią one fałszywie, to nie znajdą w większości siły lub możliwości weryfikacji usłyszanych słów. Jedyne co zostanie im w głowach to moja pewność i niezłomny jasny wzrok". Dzięki takiemu podejściu zamiast sprawdzonych i rzetelnych informacji otrzymujemy koktajl z tego, co się danemu dziennikarzowi wydaje i tego, co chciałby, aby było, a zamiast mądrości dostajemy przemądrzaństwo. Zanika też poczucie odpowiedzialności za informacje, jakie się dostarcza społeczeństwu. Imperatyw zmieniania świata na własny obraz i podobieństwo rozgrzesza łamanie standardów. Polskie dziennikarstwo coraz mocniej zapada na tę chorobę - symptomy dały się już zaobserwować u Tomasza Lisa, Moniki Olejnik, czy Katarzyny Kolendy-Zaleskiej. Żadne antybiotyki nie pomogą już pewnie załodze z Czerskiej, Janinie Paradowskiej, czy Jackowi Żakowskiemu. Co gorsza dotknięci tym porażeniem są zresztą nie tylko dziennikarze, ale i niektórzy naukowcy i komentatorzy. Różnego typu "pewności", wygłaszane ze znanstwem z piedestału własnego autorytetu na trwałe zatrują przestrzeń polskiej debaty publicznej, wyrabiając w odbiorcach przekonanie, że do tego, by brać udział w dyspucie nie trzeba mieć argumentów - wystarczy wiedzieć. I tak oto, gdy przychodzi moment, kiedy warto byłoby wejść w dialog okazuje się, że nie bardzo jest komu go poprowadzić.

Tomasz Sulewski